

# KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

30

(Ciąg dalszy).

Gdy wymawiała powyższe wyrazy, dzwonek, widocznie silnie szarpnięty, zatętnił głośno w przedpokoju.

— To on! — zawołała Eugenia, rzucając pełne niepokoju spojrzenie na Kazimierza. — Więc zostajesz?

— Tak, Geniu, pozostaje.

— Ja zaś spieszę go uprzedzić o twojem przybyciu, bo gdyby nagle cię zobaczył, doznałby zbyt gwałtownego wzruszenia.

Wybiegła. On pozostał i słuchał odgłosu jej kroków, jakimi mknęła po grubych dywanach kurytarza. Słyszał następnie, jak mówiła z ojcem słodkim i harmonijnym, chociaż drżącym głosem. Upłynęło kilka minut oczekiwania, które Kazimierzowi wydawały się wiekiem.

Piotr Molski wszedł nareszcie do pracowni.

— Ani syn, ani ojciec nie przemówili do siebie ani słówka, patrzyli tylko jeden na drugiego wytężonym wzrokiem. Kazimierz z boleścią zauważył, jak strasznie rodzić jego się zmienił. Upłynione lat osiem wyrwały na jego twarzy ślady i znamiona zgrzybiałej starości. Barki mu się zgarbiły, czoło porało głębokimi zmarszczkami, włosy zbierały zupełnie. Na obliczu malował się bezgraniczny smutek.

— To ty! — szepnął po chwili i naraz zamknął. potykając się, jak pijany, chwiejnym krokiem doszedł do krzesła, stojącego przed kioskiem i upadł na nie. Głowę pochylił na piersi i jęknął znowu: — To ty!

— Tak, to ja ojcie. Czy mnie potępisz za śmiałość, z jaką, po tak długim niewidzeniu się naszym, przyszedłem do ciebie, żeby ręce twe ucałować i pochylić się do twoich kolan z pokorą?

— To ty! to ty! — powtarzał sędzia, podnosząc zmęczone, krwią nabiegłe oczy na syna. — W ciągu ośmiu lat nie pomyślałeś o nas... ani o mnie, ani o siostrze... nie pisywałeś do nas, ani się zgłaszałeś... więc coś niezwykle ważnego stać się musiało w twojem życiu, jeśli zjawiasz się teraz niespodzianie. Może żona cię porzuciła! Stałość nie jest cnotą jej rasy i rodziny. Powiedz zatem szczerze, czy ona cię opuszcza, czy też ty nareszcie uprzykrzyłeś ją sobie?

— Ani jedno, ani drugie. Powróciłem do Warszawy przed tygodniem, a dziś po raz pierwszy wyszedłem na miasto. Serce kierowało moimi krokami, więc zwróciłem się ku domowi, w którym się urodziłem i w którym mieszkasz ty, ojcie, wraz z moją siostrą. Stanąwszy przed bramą, nie mogłem się oprzeć chęci zobaczenia was...

— Po ośmioletniej nieobecności!

— Papo kochany...

— Nie zapomnę nigdy, żeś nas opuścił, aby polecieć za kobietą, która cię zgubiła i zbezcześciła. Bo przyznaj, że jesteś teraz człowiekiem bez zajęcia i stanowiska, utrzymywanym przez bezczelną ladaćnicę... Czy ktokolwiek zna źródło jej majątku? Czy opinia publiczna wie, w jaki sposób się wzbogaciła i skąd bierze pieniądze, które napelnią twoje kieszenie, abyś je trwonil bez skrępowań i wyrzutów sumienia!

Kazimierz zatrząsł się cały. Cera jego twarzy przybrała barwę woskowej bledości.

— Jesteś ojcie okrutny i niesprawiedliwy! — zawołał, podnosząc głowę. Mówisz o rzeczach, o których nawet tobie mówić nie wolno, bo dotyczą osobiście tylko mnie i pani Molskiej...

— Zabraniam ci zwać w mojej obecności tę kobietę panią Molską. Mojem uczciwem nazwiskiem nie okrywaj nędznicę! Czy słyszysz?... Zabraniam ci! zabraniam!

— Ojcie!

— Zdeptałeś nasz honor, poślubiając istotę nikczemną, która stała się nieszczęściem i zakląną naszą. Wbrew mojej woli dałeś jej moje nazwisko; wbrew mojej woli uczyniłeś ją dożgonną towarzyszką swoją! Być może, iż żałujesz szaleństwa, jakie popełniłeś... ale, niestety, żałujesz za późno!

— Niczego nie żałuję! Co się stało, stać się musiało. Jeśli popełniłem szaleństwo, sam za nie odpokutuję i ja tylko jeden poniosę na moich barkach cały ciężar nieszczęść, spotkać mnie mających.

— Dobrze!... Czy nic więcej nie masz mi do powiedzenia?

— Nic, ojcie.

— W takim razie, odejdz! — i ręką wskazał drzwi synowi.

Kazimierz wybiegł z pracowni.

Minawszy dwa podwórza, wyszedł na Długą. Bezwiednie i nieprzytomnie, z głową pałającą i sercem, bijącym gwałtownie w łonie, zawrócił na prawo w ulicę Miodową, a potem przez Kozią, wysunął się na Krakowskie-Przedmieście, nie wiedząc co czyni i dokąd idzie. Weranda cukierni Loursa zatrzymała go. Usiadł przy jednym z pustych stolików i kazał sobie podać perbaty.

Przy drugim stole siedziało dwóch panów, przyzwyczajonych, chociaż nie wykwiennie, ubranych. Jeden z nich zaczął mu się bacznie przyglądać. Lecz Kazimierz, pogrążony w bolesnem zadumaniu, nie zwrócił na to uwagi.

Byli to znani tajni agenci: Piperstein i Maślak, którym dziś policyjna władza zwierzchnicza poleciła czuwać na Krakowskim-Przedmieściu. Przenosili się więc z cukierni do cukierni, przysłuchując się rozmowom, zwłaszcza prowadzonym cicho, lub półgłosem. Pierwszy poznał w Kazimierzu syna sędziego śledczego, którego się obawiał, lecz dla którego również miał wielki respekt.

— Powróć! — rzekł, nachylając się do ucha kolegi.

— Kto?

— Spójrz na sąsiada po prawej stronie... na tego bladego panka.

— Adwokat, Kazimierz Molski! — odparł Maślak.

— Poznajesz go?

— Nie ulega wątpliwości, że to on.

— Powrót jego mnie dziwi.

— Dla czego?

— Hm! hm!

— Podróżował podobno długo, więc znudził się podróżowaniem... no! i wrócił do Warszawy.

— Żeby się dać przycapić, bo kto wie, czy ja go... wraz z jego hrabiną... nie oddam w ręce sprawiedliwości.

Maślak wzruszył ramionami.

— Uparta z ciebie bestya! Powiadam ci, pozostaw ich w spokoju. Są sprawy, w które lepiej nosa nie wtykać, a do nich należy sprawa zamordowania Jelskiego. Zbyt małemi jesteśmy figurkami wobec tylu matadorów w nią wpłatanych, żebyśmy mogli wywołać rewizję procesu. Poruszyłaby ona w dodatku ogół mieszkańców na dzisiejsze sądownictwo, z którym, nam szczególnie, żartować nie wolno. Nigdy nie staraj się brać za bary z silniejszymi od siebie... a chyba rozumiesz, że panowie sędziowie silniejszymi są od ciebie!

— Podłe nasze rzemiosło!

— Nie przeczę, lecz co na to poradzisz? Człowiek żyć przecie musi!

— Mów co chcesz, a jednak mam wielką ochotę śledzić ptaszka. Gdyby mi się udało wykryć prawdę...

— Nie wykryjesz! nie wykryjesz! a sam się skompromitujesz!

Mówili po cichu, a turkot powozów i dorożek głużył ich rozmowę.

Kazimierz nie ruszał się z miejsca. Siedział w cieniu, pod wiotką ścianką z bluszczu, pnącego się po drewnianych kratkach werandy, przed niewyprowadzoną szklanką herbaty, zwrócony ku ulicy, chociaż nie zważał wcale na wrzót życia ulicznego. Myśl jego leciała nieustannie na ulicę Długą, do starego domu, w którym przyszedł na świat, a do którego może już nigdy wejść mu nie będzie wolno. Dzisiejsze usiłowanie prześladowania ojca, spełzło na niczem. Rodzić go niemal wypędził, nie dając choćby cienia nadziei, że zmieni kiedykolwiek swoje postanowienie. Rozumiał, że z tej strony wszystko dla niego skończone. Piotr Molski nie chciał zapomnieć — tylko Eugenia mu przebaczyła.

Czy oburzać się miał prawo? Nie. Wszakże ośm lat z rzędu nie dawał znaku życia; nie pisywał do siostry, ani do ojca; wszakże poślubił kobietę, którą mu ten poślubić zabronił.

Powstał z miejsca, znużony rozmyślaniami, zawołał chłopca, zapłacił za herbatę, której nie wypił i wszedł do stojącej przed cukiernią dorożki.

Piperstein, nie namyślając się, pożegnał skinięciem ręki Maślaka — i wskoczył do drugiej, szepejąc do ucha woźnicy:

— Jedź za tamtą!

Oba wehikuły ruszyły z miejsca niemal razem.

W pół godziny potem pierwsza dorożka zatrzymała się na bocznej, poprzecznej drodze, łączącej Aleje Ujazdowskie z placem przedrogatkowym, u wylotu ulicy Marszałkowskiej. Kazimierz z niej wyskoczył i wszedł do świeżo widocznego, ładnego pałacyku.

O kilka kroków dalej, na znak, dany przez Pipersteina, wstrzymał konie drugi dorożkarz. Agent wysiadł i zapłacił woźnicę, poczem przechadzał

się zaczął przed willą, którą sam sobie otworzył kluczem, wyjętym z kieszeni.

— Szykowna rezydencja! całkiem szykowna! — mruczał pod nosem szpicel. — Przypuszczam, że ex-hrabina musiała ją nabyć niedawno, za pośrednictwem swego adwokata... Nawet coś czytałem o tem w gazetach.

Przez okna od ulicy, hermetycznie zamknięte żelaznymi okiennicami, dostrzedz nie można było co się dzieje wewnątrz, lecz Piperstein, nie bity w ciemność, domyślił się odrazu, że okna w podwórzowym froncie muszą być jeszcze otwarte. Ostrożnie przelał przez niski parkan sąsiedniej posesyi, jeszcze nie zabudowanej — i znalazł się w łańdym, ze smakiem urządzonego ogrodu, z gęstymi klombami drzew i krzewów, altaną, ławkami i parterami kwiatów. W rzeczy samej spostrzegł zaraz wielkie weneckie okno, wychodzące na ogród, nie zasłonięte ani firanką, ani storą, nadto szeroko rozwarte. Za niem, w jasnym oświetleniu dwóch lamp, stojących na marmurowym kominku, widać było obszerny pokój, obity jedwabną materią i wytwornie umeblowany, w którym na niskim, pluszowym fotelu, siedziała piękna kobieta, pogrążona w głębokim zamyśleniu.

Była to Marcelina, oczekująca na męża. Od czasu, jak przyjechała do Warszawy i natychmiast po przybyciu wniosła się do tego pałacyku, nabytego i urządzonego z wielkopańskim przepychem przez jej pełnomocnika, nigdy jeszcze tak długo nie była samą.

Kazimierz wszedł nareszcie.

Oczy Marceliny napełniły się gorzkimi wyrzutami, wyrzutów tych jednakże, nie wypowiedziała jej usta. Z głową, opartą o miękką poręcz fotelu, z przymkniętymi powiekami i rękami, skrzyżowanymi na kolanach, nie ruszyła się z miejsca.

— Dlaczego nie położyłaś się spać? — zapytał Kazimierz. — Gdy się spóźniam, nie powinnaś na mnie czekać tak długo.

— Nie czekałam na ciebie wcale — odparła powstając i odrzucając na bok pukle włosów, spadające jej na czoło. — Od dwóch lat przyzwyczaiłam się do twoich nocnych wycieczek i nie już sobie z nich nie robię!

— O, nowa scena zazdrości! — rzekł młody człowiek, zapalając papierosa. — Chyba wiesz, jak niemi się brzydzę.

— Od pobrania się naszego upłynęło lat siedm — mówiła Marcelina cichym i drżącym głosem — a siedm lat, to przecie wieczność dla ludzi, którzy się nie kochają. Ty zaś mnie nie kochasz... rzecz wiadoma!... Od dnia, w którym ksiądz związał ręce nasze stulą, czyniłeś wszystko, co było w twojej mocy, żeby mnie zmusić do poddania się i uległości. Stałam się twoją niewolnicą. — I uśmiechając się ironicznie, dodała: — A nie łatwo było zgnieść mnie i zdruzgotać.

— Proszę cię...

— Wiesz dobrze, że zazdrośną nie jestem i że chętnie pozwalam ci wieść życie, jakie ci się podoba. Nie zatrzymuję cię, gdy wychodzisz... i nigdy jeszcze nie wyraziłam zamiaru towarzyszenia ci w twoich nocnych wędrówkach. Siedzę cicho u siebie, strzegąc domowego ogniska, myśląc tylko o tem, co mogłoby sprawić ci przyjemność. Mieszkanie nasze uczyniłam ponętne i miłe, gromadząc w niem dzieła sztuki naszych najznakomitszych polskich artystów. Gdzie rzucisz okiem, wzrok twój spocząć musi na utworze prawdziwie pięknym, lub interesującym swoją kunsztownością. Pojmujesz, że w tym celu pełnami garściami sypałam złoto na prawo i lewo... Nigdy i w niczem ci się nie sprzeciwiałam i nie sprzeciwiam. Chciałeś powrócić do kraju... wróciliśmy! Każde twoje życzenie w lot bywa spełnione... Otóż wszystko, co robię, żeby uprzejmie ci życie, budzi w umyśle twoim przekonanie, że jestem zazdrośną, że całym dążeniem mojem jest utrzymać cię u stóp moich. Ależ nie! nie jestem zazdrośną — mówiła z gorączkowym rozdrażnieniem, a oczy jej ciskały błyskawice — nie jestem zazdrośną i nigdy nią nie będę, bo przecie to nie miłość łączy ciebie ze mną, lecz zbrodnia, która nieskruszonym łańcuchem skłała serca nasze i ręce. Dokąd się udasz i ja pójdę muszę za tobą, dźwigając wspólne kajdany. Oto nasza bolesna dola! oto hańbiąca nas przyszłość! A ty sądzisz, że zazdrośna... ha! ha! ha! — śmiała się gorzkim, nerwowym, męczącym śmiechem — ja, zazdrośna?... Broń Boże!

Śmiech jej, nie mający nic wspólnego z weselem i radością, podobny raczej do jęków bólu i rozpacz, niż do dobroczynnego śmiechu, odkrył jej zęby, dotąd jeszcze śliczne, jak rząd pereł cennych, osadzonych w oprawie z koralu.

Kropla krwi z warg jej wytrysła; zimny pot